

# Northrop Frye

---

## Konteksty wartościowania literatury

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 76/4, 233-240

---

1985

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

III. P R Z E K Ł A D Y  
WARTOŚCIOWANIE W BADANIACH LITERACKICH

Pamiętnik Literacki LXXVI, 1985, z. 4  
PL ISSN 0031-0514

NORTHROP FRYE

KONTEKSTY WARTOŚCIOWANIA LITERATURY

Muszę postawić problem wartościowania literatury w kontekście naszych obowiązków zawodowych i choć mógłbym określić ten kontekst z racjonalnego punktu widzenia jako zapewniający nam egzystencję, angażujący nasze wysiłki itd., to i tak jedyne, co mogę zaproponować, to pewna analogia, która wydaje mi się pouczająca. Dążenie do wartościowania w badaniach literackich przypomina dążenie do szczęścia, o którym mówi konstytucja Stanów Zjednoczonych: można czuć pewną sympatię do wytyczonego tam celu, ale ubolewać nad sposobem, w jaki został on przedstawiony. Nie można dążyć do szczęścia, samo bowiem szczęście nie stanowi właściwego celu działania; jest raczej reakcją emocjonalną na działanie, uczuciem, jakiego doznajemy, dążąc do czegoś innego. Im bardziej autentyczne jest to „coś innego”, tym większe mamy szanse osiągnięcia szczęścia; im usilniej dążymy do szczęścia, tym szybciej spotyka nas zawód. Im częściej ktoś powtarza, że jest szczęśliwy, tym prędzej schodzimy mu z drogi, broniąc się w ten sposób przed przygnębieniem.

Podobnie dzieje się z poczuciem wartości w badaniach literackich. Nie można prowadzić tych badań, mając na celu dojście do sądów wartościujących, ponieważ jedynym właściwym celem wszelkich badań jest wiedza. Poczucie wartości to indywidualna, nieprzewidywalna, zmienna, niemożliwa do wypowiedzenia i przedstawienia, głównie intuicyjna reakcja na wiedzę. W przypadku wiedzy kontekstem utworu literackiego jest literatura; przy sądach wartościujących rolę takiego kontekstu spełnia doświadczenie czytelnika. Kiedy wiedza jest ograniczona, poczucie wartości jest naiwne; kiedy wiedza wzrasta, wzmaga się również poczucie wartości, ale zawsze musi ono być podporządkowane wiedzy, aby mogło się doskonalić. Gdy dwa sądy wartościujące znajdują się w konflikcie, tylko gruntowniejsza wiedza może go rozwiązać.

---

[Northrop Frye — zob. notkę o nim w: „Pamiętnik Literacki” 1978, z. 3, s. 243.

Przekład według: N. Frye, *Contexts of Literary Evaluation*. „Yearbook of Comparative Criticism” 2 (1969), s. 14—21.]

Poczucie wartości wyłania się z walki z danym środowiskiem kulturowym i polega w dużym stopniu na wykształceniu w sobie wycucia na różne konwencje ekspresji słownej. Każda ekspresja słowna jest skonwencjonalizowana, ale my szybko zdajemy sobie sprawę, że niektóre konwencje są łatwiejsze do przyjęcia przez naszą grupę społeczną niż inne. W niektórych społeczeństwach, do niedawna także i w naszym, różne konwencje odpowiadały różnym klasom społecznym, a różnice między językiem ludzi wysoko urodzonych i gminu wyrażały przynajmniej symbolicznie konwencje panów i chłopów. Dzisiaj również obserwujemy, na przekór językoznawcom, różnice między językiem zgodnym ze standardem i znajdującym się poniżej niego oraz odpowiadające temu, choć całkowicie inne, jeśli chodzi o zastosowanie, rozróżnienie na literaturę zgodną ze standardem i znajdującą się poniżej niego. Badacz starający się za wszelką cenę wykształcić w sobie coś w rodzaju intuicji podpowiadającej mu, jakie konwencje literackie są aprobowane przez społeczność, w której żyje, staje się reprezentantem dobrego smaku swej epoki.

A zatem sądy wartościujące niosą za sobą, jakby w półcieniu, wycucie społecznej akceptacji. Pamiętam odczyt W. H. Audena na temat Yeatsa wygłoszony w Detroit w 1947 roku. Mówił o spirytualizmie Yeatsa, mając na uwadze łatwowierność niższych warstw klasy średniej i opuszczone żaluzje na obskurnych przedmieściach, oraz zwrócił uwagę, że stoicyzm A. E. Housmana, choć stanowił być może nie mniejszą bzdurę, był przynajmniej nonsensem, który dżentelmen jest w stanie przyjąć. Krył się w tym oczywiście zamierzony pierwiastek ironii, ale faktem jest, że Auden stawiał krytykę wartościującą w jej właściwym i jedynym możliwym do przyjęcia kontekście. Każdy wysiłek mający na celu wyniesienie smaku ponad wiedzę kryje w sobie podtekst, że człowiek obdarzony smakiem jest oczywiście dżentelmenem, podczas gdy ten obdarzony wiedzą może być tylko pedantem.

Zadaniem krytyków, którzy recenzują i oceniają nowe książki i sztuki, jest częściowo ratowanie nas przed próbą czytania wszystkich książek i oglądania wszystkich sztuk. Praca ich różni się zasadniczo od pracy literaturoznawcy, który stara się uporządkować naszą znajomość dawnej kultury, mimo że występuje pod tą samą nazwą i dokonywana jest w dużym stopniu przez tych samych ludzi. Literaturoznawca nie zajmuje się odsiewaniem tego, co zapewnia mniej wartościowych doznań. Wartościuje, stosując metodę selekcji, tak jak czyni to każdy badacz w jakiegokolwiek dziedzinie, ale jego kanony mówiące o tym, co jest ważniejsze, a co mniej ważne, związane są z warunkami jego szczególnych badań, nie zaś bezpośrednio z wartościami literackimi danego materiału.

Panuje niejasne przekonanie, że badania historycznoliterackie są uczonymi ustaleniami i że wszelkie metody badawcze, które nie stano-

wią po prostu gałęzi badań historycznych, jak np. metoda objaśniająca czy archetypiczna, są antyhistoryczne i powinno się je wychwalać czy ganić jako takie. Ale rzecz jasna, każdy wielki pisarz, który żył w innym niż my czasie i w innym kręgu kulturowym, stanowi wyzwanie dla założeń, na których opierają się nasze sądy wartościujące, a znajomość jego hipotez sprawia, że nasze stają się bardziej elastyczne. Podstawowym aktem badawczym, jak już kiedyś stwierdziłem gdzie indziej, jest akt rozpoznania, zdolność widzenia tego, co jest tam, w odróżnieniu od dostrzegania zaledwie Narcyzowego odbicia naszego własnego doświadczenia oraz społecznych i moralnych uprzedzeń. Rozpoznanie obejmuje bardzo wiele rzeczy, m. in. komentarz i interpretację. Można powiedzieć, a zresztą mówił już o tym, i to bardzo trafnie, M. Krieger<sup>1</sup>, że właściwie niemożliwe jest wytyczenie linii między interpretacją a wartościowaniem i że wartościowanie zawsze pozostanie w badaniach literackich jako jeden z przejawów ogólnego chaosu kondycji ludzkiej. Może to być często prawdą w odniesieniu do poszczególnych badaczy. Mimo to istnieje jednak pewna linia graniczna, która w miarę upływu czasu nieubłaganie oddziela interpretację od wartościowania. Kiedy badacz interpretuje, mówi o swoim pisarzu; kiedy ocenia, mówi o sobie lub przynajmniej o sobie jako przedstawicielu epoki.

Każdą epokę, jeśli rozpatrzemy ją w izolacji, cechuje niesłychanie wąskie spojrzenie na zjawiska kulturowe i badacz, chyba że jest geniuszem, jakiego świat nie widział, również podlega tym ograniczeniom stosownie do tego, jak dalece jest przeświadczony o swym dobrym smaku. Przypuśćmy, że mielibyśmy przeczytać coś takiego w eseju opublikowanym, powiedzmy, w latach dwudziestych XIX wieku:

Czytając Szekspira, często czujemy, jak wzniosłe i szczerze są owe głosy natury, poprzez które doskonali on nasze widzenie tego, co bohaterskie i prawe, a jednak jak bezwstydnie zniża się przy tym do haniebnych namiętności tych najbardziej maluczkich spośród jego widzów. Uderza nas to zwłaszcza przy lekturze znakomitego wydania pod redakcją doktora Bowdlera<sup>2</sup>, które po raz pierwszy umożliwiło nam odróżnienie tego, co nieśmiertelne u naszego wielkiego poety, od tego, do czego zmusiły go gusta jego czasów.

Koniec zmyślnego cytatu. Od razu widać, że nie jest to stwierdzenie o Szekspirze, lecz o niepokojach lat dwudziestych XIX wieku.

Załóżmy teraz, że jakiś współczesny badacz opracowuje Dickensa. Odkryje on, że twórczość Dickensa obfituje w melodramat, sentymentalizm i humor. Zdaje sobie sprawę, że badacz naszych czasów może zaakceptować humor, ale melodramat i sentymentalizm wprawiają go

<sup>1</sup> [Murray Krieger (ur. 1923), amerykański teoretyk literatury. — Przep. tłum.]

<sup>2</sup> [Thomas Bowdler (1754—1825), lekarz z Edynburga. W roku 1818 wydał *Familij Shakespeare*, ocenzone przez siebie dramaty Szekspira. Stąd powstał termin „to bowdlerize”, czyli „okroić książkę, usuwając z niej drażliwe ustępy”. — Przep. tłum.]

w zakłopotanie. Musi udawać, że nie są one aż tak ważne, jak by się mogło wydawać, lub że Dickens jest na tyle żywotny, że może być dobrze przyjęty pomimo ich obecności. Będzie również wiedział, że jego własny wiek ceni wysoko ironię, a niechętnie odnosi się do przypadkowych czy sztucznie zmontowanych szczęśliwych zakończeń oraz przesadnej doskonałości bohaterów. Wydobędzie zatem z Dickensa wszystko to, prawdziwe czy wymaginowane, co wydaje się tajemnicze i dwuznacznie ironiczne lub wrogie obyczajowości wiktoriańskiej, pominie zaś szczęśliwe zbiegi okoliczności, szlachetne heroiny itd., czyli mówiąc krótko, okroi Dickensa tak, jak to uczynił z Szekspirem doktor Bowdler. Interpretowanie Dickensa oznacza przede wszystkim przyjęcie kategorii, jakimi on mówi o sobie, jako warunku badań; wartościowanie Dickensa to ustalenie własnych kategorii i stworzenie koszmarnej karykatury, która szybko staje się demaskującą wszystko i niezwykle przejrzystą karykaturą nas samych, a także niepokojów lat sześćdziesiątych XX wieku.

Dopóki uprawiać krytykę znaczy oceniać, odpowiedź na pytanie „kogo krytykuje krytyk?” wydaje się z pozoru bardzo łatwa. Osobą, którą krytykuje krytyk, jest oczywiście pisarz, którego krytyk, jak to jest tradycyjnie przyjęte, osądza. Krytyk teatralny ogląda sztukę, a następnie ocenia ją w recenzji; jeśli jest badaczem literatury, także czyta wielkich pisarzy po to, aby ich oceniać. Kto w ogóle zechciałby być krytykiem, jeśli nie mógłby oceniać największych twórców przyszłości? Niestety to przechodzenie od oceny do badań nie udaje się i badacz literatury po wielu latach gorzkich rozczarowań odkrywa, że tak naprawdę to wcale nie ocenia wielkich pisarzy. To oni wystawiają mu ocenę; każdy aspekt minionej kultury wykazuje jego ignorancję, jego słabe punkty, prowincjonalizm i naiwność. Jeśli krytykować znaczy oceniać, odpowiedzią na pytanie „kogo krytykuje krytyk?” okazuje się w badaniach literackich — samego krytyka. Jedynym sądem wartościującym, stale i niezmiennie przydatnym dla uczonego krytyka, jest stwierdzenie, że jego własna twórczość, podobnie jak moralność ulicznicy, jest nie lepsza, niż być powinna.

Oczywiście literatura jako przedmiot badań jest niewyczerpanym źródłem potencjalnych wartości. Pomyślmy, jak mocno tkwią dzisiaj w naszej wyobraźni wielcy pisarze amerykańscy w. XIX i jak zubożona byłaby ta wyobraźnia, gdyby nie obejmowała takich postaci jak Ethan Brand, Billy Budd czy Huckleberry Finn. A przecież jeszcze nie tak dawno zadawano często i z całą powagą pytanie: „A cóż to takiego ta amerykańska literatura?” Nie ma właściwie niczego w literaturze, co nie mogłoby się stać źródłem olśnienia dla wyobraźni. Ktoś mógłby powiedzieć, że trudno o równie nudny i nie przynoszący żadnych korzyści temat jak podręczniki omawiane przez pannę Frances Yates w *Sztuce pamięci*, a jednak jej studium jest tak pełne intelektualnego

zachwytu, jakby co najmniej odkryła wspaniałego nowego poetę. Kiedy jednak doprowadzimy wartość do tak skrajnego uogólnienia, wartość ta staje się pojęciem zbędnym. Czy też raczej zmienia się w zasadę, że samo badanie literatury stanowi wartość, a tego już nie sposób zakwestionować.

Przeżycie literackie nie równa się badaniu literatury, tak jak przeżycie religijne nie równa się teologii, a psychiczne psychologii. Przeżycie literackie polega na odczuwaniu i możliwości powiedzenia wielu rzeczy, które nie grają żadnej istotnej roli w krytyce. Badacz literatury może być świadom wielu spraw, których nie musi mówić jako krytyk, takich jak np. to, że wiersz, który omawia, jest dobrym wierszem. Jeśli to stwierdza, to stwierdzenie takie stanowi część jego własnej retoryki i może mieć rację bytu w danym kontekście. Naturalnie czytelnik pracy krytycznej lubi doznawać wrażenia, że jej autor jest człowiekiem obdarzonym dobrym smakiem, że lubi literaturę i że stać go na podobną wrażliwość i wiedzę, jakich wymagamy od dobrego recenzenta. Ale poczucie wartości reprezentowane przez krytyka nie może nigdy stanowić logicznej części żadnej dyskusji krytycznej; może być tylko psychologicznie i retorycznie związane z tą dyskusją. Poczucie wartości, jak mówi fenomenolodzy, jest przedorzecznikowe [*pre-predicative*].

A zatem badanie literatury wytwarza poczucie wartościowania mimochodem. Próby doprowadzenia do tego, aby krytyka zaczynała się lub kończyła na sądach wartościujących, są jawnym nieporozumieniem, a częstotliwość podobnych wysiłków tłumaczy, dlaczego w badaniach literackich, zwłaszcza w teorii literatury, powstaje więcej bzdur niż w jakiegokolwiek innej dyscyplinie, nie wyłączając nauczania. Na szczęście praktyka jest znacznie lepsza od teorii, nawet jeśli ta pierwsza obejmuje prace magisterskie i doktorskie poświęcone odom urodziny Colleya Cibbera. Nikt chyba bardziej niż ja nie ubolewa nad może ciasnym horyzontem uczonych krytyków czy nad faktem, że powstaje tyle prac krytycznych o tak małym ładunku intelektualnym, że trzeba wszystko robić od nowa. Mimo to lepiej nie przyjmować krytycznego stanowiska, które uniemożliwia sensowne pisanie, jakkolwiek żalony byłby rezultat przyjęcia lepszych przesłanek. Wraz z ogromnym wzrostem kadr w naukach humanistycznych przewiduję nadejście czasów, kiedy obecne żądania, aby każdy badacz był płodny, przekształcą się w wysiłki zmierzające do naukowej antykoncepcji. Doprowadzi to być może do lepszego uświadomienia sobie różnicy między krytyką, która pogłębia nasze rozumienie literatury, a krytyką, która zaledwie je odzwierciedla i odtwarza.

Tymczasem nie ustają wysiłki zmierzające do przestawienia aparatu krytycznego, i to zwykle w taki oto sposób: Czyż sam wybór, powiedzmy, Chaucera, a nie Lydgate'a, na temat kursu dla studentów nie zawiera w sobie sądu wartościującego? Oczywiście, gdybyśmy mieli rozwinąć

teorię wyjaśniającą, dlaczego jeden pisarz jest pierwszej wielkości, a drugi dziesiątej, robilibyśmy coś znacznie istotniejszego niż tylko dokładne ich badanie, dowodzilibyśmy bowiem, że mniej istotną rzeczą jest zajmowanie się tym pośledniejszym. Nie znam nikogo, kto by twierdził, że istnieje przekonująca teoria tego rodzaju, ale często zarzucano mi, że nie poświęcam całej swojej energii na wypracowanie takiej teorii. Przypomina mi to trochę dowodzenie sir Thomasa Browne'a, że teoria przyczyn finalnych, działając poprzez uniwersalne zasady układu takiego jak kwinkunks dałaby nam uniwersalny klucz do wszystkich nauk.

Jest to także przejaw owej wielkiej ułudy panującej w badaniach literackich, a przypominającej szukanie Przejścia Północno-Zachodniego, co zawsze kończy się utknięciem w lodach tautologii. Najwięksi pisarze są — niech no pomyślę — no tak... obdarzeni wyobraźnią raczej niż fantazją, cechuje ich duża powaga, albo też ilustrują najgwałtowniejsze napięcia między *id* a *superego*. Badacz bezustannie odkrywa te wartości u twórców, których uważa za najlepszych, zapominając o tym, że są to zaledwie synonimy jego upodobań. Koło takie może się toczyć nieprzerwanie przez wieki, tak długo, jak użyte już wcześniej określenia będą odnawiane przez kolejne generacje. Można też zestawić listę kategorii, które przemawiają do wrażliwości krytyka, jako że są modne w jego epoce, i określić je jako charakterystyczne dla całej wielkiej literatury wszystkich epok. Rezultatem tego jest kanonizacja gustów danego wieku i ujęcie ich w dogmat obowiązujący wśród przyszłych pokoleń. I. A. Richards na marginesie swej książki *Practical Criticism* wysunął propozycję dotyczącą takich uniwersalnych kategorii, ale oczywiście szybko zdał sobie sprawę nie tylko z faktu, że wynikająca z tego metoda jest okrężna, ale także z tego, że określenia takie jak „niezglębiona tajemnica” narodzin i śmierci odzwierciedlają po prostu niepokoje lat dwudziestych naszego wieku. Dla tych, którzy pragną uparcie trzymać się tej czy podobnych metod, pewien stopień paranoi okaże się niezwykle pomocny, jeśli nie niezbędny.

Dlatego właśnie, że wierzę w wartość badań literackich, mam wątpliwości, czy sądy wartościujące grają autentyczną rolę w ich przyswajaniu. Ci, którzy próbują podporządkować wiedzę sądom wartościującym, także napotykają w końcu zwątpienie, czy prawdziwa wiedza o literaturze jest możliwa, a jeśli tak, to czy jest pożądana. Jest wiele sposobów na wyrażenie tej wątpliwości czy dezaprobaty. Jednym z nich jest chór wykonujący następujący refren: „Ale przecież literatura jest żywa, a wy robicie sekcję zwłok”. Takie porównania cofają nas do witalizmu, który już dawno zniknął z biologii, i badacz literatury stale słyszy, że pomija to, co jego adwersarz uważa za siedlisko duszy autora, bez względu na to, czy siedliskiem tym jest serce, krew, jelita, czy jądra. Podstawą takiej reakcji jest mania wywodząca się z okresu dojrzewania, kiedy to poczucie akceptacji społecznej jest niezwykle silnie rozwinięte

i kiedy wydaje się rzeczą zupełnie oczywistą, iż celem lektury jest sprowadzenie wszystkiego do dwóch wielkich kategorii dialektycznych wartościowania, a które za moich młodych lat brzmiały „w dechę” i „do bani”. Ale wydaje mi się, że jedyną rzeczą, która może „zabić” literaturę (jeśli już musimy używać tej metafory), jest szablonowy odbiór. Wysiłki prawdziwej krytyki zmierzają do powołania literatury do „życia” poprzez zwalczanie szablonowych ocen, które oczywiście występują zawsze w formie sądów wartościujących i które systematycznie mieszają literaturę z życiem.

Panuje także pogląd, że dziekani i wykładowcy uniwersyteccy wymagają od nowego narybku pewnej porcji badań historycznych w ramach czegoś w rodzaju inicjacji, zanim zezwolą im na rozpoczęcie właściwej pracy wartościującej. Zakłada się, że badania takie prowadzone są na jednym poziomie i że materiał uległ niemal zupełnemu wyczerpaniu, tak że obecnie jest się zmuszonym szukać czegoś w rodzaju zeszytów do łaciny Thomasa Flatmana czy rachunków za pranie Shackerleya Marmiona. Pojawienie się każdej autentycznej pracy literaturoznawczej udowadnia bezpodstawność takich przekonań, ale mimo to odżywają one w każdym pokoleniu absolwentów uniwersytetów. Bardziej wyszukany formami tego odrzucenia wiedzy są, po pierwsze, beznadziejny relatywizm historyczny mówiący, że tak jak Samuel Johnson czy Coleridge popełnili trochę błędów możliwych do popełnienia za ich czasów, tak i my możemy tylko dalej popełniać nowe błędy, nie będąc w stanie nauczyć się niczego od naszych poprzedników. Po drugie, założenie, że większość interpretacji, zwłaszcza tej subtelnej i trudnej, jest czymś, czego sam autor nie mógłby zrozumieć, a która została mu narzucona przez krytyka, to pretekst do działalności wszczętej w autohipnozie i podsycanej przez zbiorową histerię. Jeśli jakiś czytelnik wątpi w istnienie takiej reakcji, to prawdopodobnie nigdy nie był autorem książki na temat ksiąg proroczych Blake'a<sup>3</sup>.

Krótko mówiąc, im uparciej ktoś pojmuje krytykę jako dążenie do wartościowania, tym mocniej wiąże się z ową wielką sektą antyintelektualizmu. Zdaje się, że obecnie panuje moda na zajmowanie agresywnego stanowiska na zajęciach ze studentami i domaganie się odpowiedzi na pytanie, czego właściwie staramy się uczyć. Okazuje się, że jako nauczycieli obchodzi nas to unikatowość ludzkiej egzystencji, to znów bogactwo człowieczeństwa, albo też wolność świadomości czy też życie jako takie, albo paradoksy towarzyszące świadomości czy problem, jak czuć się w świecie jak w domu, czyli właściwie wszystko jedno co, byle tylko brzmiało mgliście, robiło odpowiednie wrażenie i nie dawało się sprowadzić do traktowania literatury jako czegoś, czego trzeba uczyć i badać

---

<sup>3</sup> [N. Frye napisał książkę poświęconą m.in. księgom proroczym Blake'a: *Fearful Symmetry. A Study on William Blake*. 1947. — Przyp. tłum.]



jak inne rzeczy. Pierwej szukajcie cienia — słyszymy ciągle — a substancja sama zostanie wam dana, jeśli z jakiegoś powodu jej się wam zachce. Jest chyba coś w literaturze, co sprawia, że nauczyciel odczuwa silną pokusę współpracy z wewnętrznymi oporami studenta istniejącymi w stosunku do procesu uczenia i robi z siebie matową namiastkę swego przedmiotu zamiast służyć jako przejrzysty przekaźnik i przez to rozwijać swoją charyzmę, jak to z grecka określamy kiepską grę. Ale jako że wartości nie sposób zademonstrować, tylko ci, którzy je posiadli, zdają sobie z tego sprawę i dlatego z im większym natchnieniem ktoś zachwala swój towar, tym bardziej jest on ezoteryczny. Nie chcę kwestionować rzecz jasna faktu, że nauczanie stanowi działalność różną od pracy naukowej i że wiele stwierdzeń wartościujących, które nie byłyby stosowne w periodyku naukowym, ma rację bytu w sali wykładowej. Sądzę jednak, że w literaturze, podobnie jak w innych dziedzinach, najlepszymi badaczami są ci, którzy reagują na uczciwość intelektualną, którzy nie ufają drodze *a priori* i czują, że może istnieć pewien związek między ograniczonymi żądaniami a nieograniczonymi nagrodami.

Przełożyła *Monika Adamczyk*